

- „Wielki las” Zbigniewa Mienackiego
- W sprawie artykułu 54
- Zamordować psa?
- Z Brelem i bez Brela...
- Ostatnia przystań

Targi udane — gorzej z handlem

TERESA IERZYKOWSKA

Tegoroczne 57 Międzynarodowe Targi Poznańskie odbywały się w roku jubileuszowym — w 60 rocznicę powstania Związku Targow Międzynarodowych UFI. Do organizacji tej należą 132 instytucje, zajmujące się organizowaniem targów i wystaw międzynarodowych, reprezentujące 109 miast z 56 krajów, z 4 kontynentów. Organizacją one 357 imprez, w tym 3 odbywały się właśnie w Poznaniu; oprócz MTP są to salony specjalistyczne Internasz i Taropak.

Jubileusz UFI uczczono specjalną wystawką, obrazującą jej dorobek i przedświadczenia, sama atmosfera poznańskiej imprezy nie miała jednak nic wspólnego z jubileuszową oświetleniowością.

Od targów sprzed kilku lat różniły się jednak nieco tegoroczne MTP. Przede wszystkim — ogromnym tłokiem. Przybyli do Poznania wystawcy z 39 krajów wszystkich kontynentów, wykorzystano dosłownie każdy skrawek miejsca a i tak wielu przywidyli do Poznania producentów i handlowców narzekając, że z powodu ciasnoty nie mogą pokazać wszystkiego, co chcieliby zaprezentować innym. Przybyło również wielu takich, którzy od kilku lat nie pokazywali się w Poznaniu, a nawet zaniedbali innych form kontaktów handlowych z Polską, uważając „że sytuacja w naszym kraju nie stwarza korzystnych dla nich możliwości.

Wyjątkowo dopisali również sprzedawcy. Na długo przed otwarciem kasa wzdłuż ulicy Głogowskiej, gdzie mieszczą się główne wejścia na tereny targowe, kępiła się zwarty tłum, nieomal paraliżujący ruch uliczny. Nikogo nie odstraszała dość wysoka — 100 zł — cena biletu.

Ci, którym po długim oczekiwaniu udało się wreszcie dostać do stoiska dzielili się na kilka grup:

Spora część, zamiast oglądać, rzucała się do następnych kolejek — przed kioskami Ruchu, gdzie była pasta do zębów, przed bufietem i bezkarkowa kiełbasa, przed wózkami z piwem. Wyczerpani „Lechem” krasnolęci się widać, przy czym już przed południem dość liczni targali się po alejkach, słuchając się z publicznością swoimi uwagami na tematy handlowe i nie tylko.

Ci, którzy nie jedli, nie pili i nie połowali na pastę — tłoczyli się w miarach z godną podziwu wytrzymałością.

Np. aby orzeczyć przed stoiskami samochodowymi firm japońskich — trzeba było posuwać się pomalutku w szkatkowym szyku ponad 40 minut, a wszelkie próby przedarcia się szybciej były ostro karcone przez pozostałych oczekujących, podobnie jak w sklepach z mięsem.

Nieco lepiej było przed innymi stoiskami, choć niestety tłok nanował wszędzie. Oglądający dzielili się uwagami, z których niekiedy przebijała narodowa dumna (co oni tu prezentują, my robimy ładniejsze), a niekiedy — zwłaszcza w pawilonach polskich, także żal i oburzenie (robią takie ładne, ale nie dla nas).

Ci, którzy tylko oglądali, mimo trudnych warunków, zwiedzania zmęczili się jednak znacznie mniej od tych — dość licznych — którzy postanowili wrócić do domu z jakimś zyskiem. Biegali oni od stoiska do stoiska, wypatrując, gdzie dają folde-ty, a gdzie torby z nadrukiem, a już szczytem osiągnięć było zdobycie klocków Lego. Co godzinę lub dwie przedstawiciel firmy wynosił kilka pudełek tego „arytazu” i rozdawał oczekującym.

Inni musieli zadowolić się prospektami. Można oczywiście zrozumieć żądanie starego Syrenka entuzjastę motoryzacji, który chce „połowić” katalog Mercedes, nikt nie powinien dążyć się maluchom, domagającym się kolorowego, żrwiącego balonika z pawilonu kubańskiego.

Nie można jednak pojąć, czym kierowali się wszyscy, którzy zabierali ze stoisk ulotki z opisami rozmaitych produktów chemicznych czy części do maszyn, pozabawione nawet zdjęć. Tego rodzaju informacja ma znaczenie dla fachowca — dla niefachowca jest jedynie makulatura. Mimo to stoły ulotek znikły natchem, a wielu amatorów „pamiątek z targów” dźwigało w końcu po parę kilogramów niepotrzebnych papierzyków.

Ci, dla których nie starczyło — pukali do boków wystawców, prosząc o jakiegokolwiek materiał reklamowy. W końcu na niemiłe wszystkich drzwiach pojawiały się kartki: nie ma toreb, nie ma nalepek, dziś znaczków nie będzie itp. Jeden z wystawców bardzo już widąc zmęczony ogromnym — acz nie przyniosącym żadnych profitów handlowych — zainteresowaniem, obrzucił swoje drzwi dużym napisem: nie ma i nie będzie niczego do rozdania.

Bowiały, nieliczne na szczęście przypadki, że osoby, dla których zabrakło nalepek czy ulotek, usiłowały zdobyć na pamiątkę cokolwiek — od ledwego buta po kawałek wystawionego urządzenia. Tego rodzaju „zaradność” przejawiali głównie osoby bardzo młode, których sporo biegło po terenach targowych, mimo iż przy każdym wejściu wisiała kartka, informująca, że młodzież do lat 14 może zwiedzać ekspozycje jedynie w towarzystwie dorosłych opiekunów.

Pokochoać barwy, dla których się gra



Foto: Andrzej Wach

Aby piękno zachwycało do pracy

HENRYK KLUBA

To trudne i złożone zadanie i odcenić wkład łódzkich uczelni artystycznych w dorobek regionu; powiedzieć co wniosły w tworzenie kultury i sztuki — miasta, to bardzo trudne wyzwanie i osiągnięcia czy przedstawić tych wszystkich artystów, którzy wyrosli z łódzkiej gleby.

Wchodźmy bowiem w płatnie nieuporządkowanych iaktów, przywołujemy i baczymy na listę nazwisk. Pełni dobrej woli, pełni poczucia obowiązku wobec 40-letniej historii — stwierdzamy nagłe że nie potrafimy odpowiedzieć żywego i prawdziwego obrazu. Może więc za to ponosi skwapliwość, a jaką przyjmujemy ograniczenia: właśnie to pytanie — co zrobiliśmy dla regionu? Może w uogólnieniu będziemy bliżej prawdy? Bo kryterium oceny kultury tworzonej i rozwijanej w Łodzi, ocena działających tu szkół artystycznych nie może — z natury zjawiska — zamykać się

w jakiegokolwiek granicach, choćby można usprawiedliwić. Odwołanie — chcemy mieć pewność, że łódzka kultura i jej artystyczne szkoły potrafiły stworzyć istotne wartości, że były miejscem artystycznego przepływu i że sztuka tworzona w Łodzi znacząco oddziaływała na sztukę narodową i nie tylko narodową

Tak właśnie pojmował sztukę Cyprjan Norwid. Nie była dlań „rozrywką znużonej materii”. Piękno jej porównywał ze światłem, który nie po to jest, by „pod korcem stać”, lecz — i to wypisaliśmy na naszych uczelnianych standardach — „Piękno na to jest, by zachwycało do pracy”. Dlatego też zgodnie z naszymi pojęciami — tymi, do których dojrzyliśmy w przecytnym czterdziestoleciu — człowiek nie pracujący czy stroniący od pracy — to nie tylko darmożąd, ale ponadto nie zasługując na nasz szacunek. Przygotowując i wychowując młodych twórców, planując oddziaływanie ich twórczości — wszystko to czynimy w imię tej prawdy, według której człowiekiem w

rozmowa ze Zbigniewem Bońkiem

Przez kilka dni przebywał w Łodzi na urlopie Zbigniew Bońkiek — do niedawna czołowy zawodnik turwskiego Juventusa. Właśnie skończył mu się kontrakt z tym klubem i w najbliższym czasie ma podpisać nowy z innym klubem włoskim. Niektórzy przypuszczają, że będzie to Roma. Zbigniew Bońkiek na ten temat nie bardzo chce rozmawiać. W wypowiedzi dla „Głosu Robotniczego” zdradził tylko: „Gdyby to była Roma, to podpisałbym kontrakt na trzy lata. W chwili zakończenia rozprawczej rozgrywki miałbym 32 lata”.

— A co dalej? Myśli pan już o tym?

— Najbardziej interesuje mnie moja najbliższa przyszłość. Ta dalsza jest dość odległa i bardzo trudno powiedzieć o niej coś precyzyjnego. Będzie się tym martwił za trzy lata.

— Sądzi pan, że może zdarzyć się coś nieoczekiwanego?

— Nie, absolutnie niczego takiego się nie spodziewam. Moje plany życiowe są ściśle takie same. Gra w piłkę nożną, żona, dzieci — to moje główne interesy. Pewnie że liczę na sukcesy sportowe i chciałbym — będzie się o to starał — aby były one na dobrym, europejskim poziomie.

— Kiedys powiedział pan, że chciałby się w przyszłości poświęcić dziennikarstwu.

— To mnie fascynuje. W miarę upływu czasu spróbuję na przyszłość zmienić się. Dziś mogę

13

pełnym słowa tego znaczeniu także nie jest ten, kto nie nauczył się dostrzegać i przeżywać piękna i urody świata, bo tego życie pod pewnym względem będzie jałowe, puste, pozbawione życiowej treści. Lapidarnie, choć może w jaskrawym sposób, wyraził to myśliciel Ruskin — kiedys mówił: „Życie bez pracy jest przestępstwem, nie pracować bez piękna jest zrewierczeniem”.

Może uda mi się przedstawić rysy charakterystyczne łódzkich szkół artystycznych, szczególne osiągnięcia i niektórych zasługujących na to ludzi. Jedną wszakże konstatacją w jednostkowym stopniu jej dotycząca to mianowicie, że nie on było ważne dla powojennego kulturalnego rozwoju Polski Ludowej — nie odbyło się bez udziału absolwentów tych szkół i nie

4

Wielki las

ZBIGNIEW NIENACKI

OD AUTORA

Powieść tę napisałem po lekturze książki epika naszego stulecia Anthony Burgess'a pt. „Tremor of Intent” (nie trafiłoby tytułu przetłumaczyć na polski).

Zafascynowała mnie w niej historia szpiega angielskiego, który — aby uwieść dziewczynę — wyrzucił przez balaj okrętowy książki o seksie. Dziewczyna wie z tych książek wszystko o tych sprawach, ale tak naprawdę niczego jeszcze nie przeżyła, nie ma pojęcia o miłości. Pomyślałem: jakie to pięknie uczyć siebie i uczyć kogoś innego. Tak powstał „Wielki las”, który jest w pewnym sensie studium psychologicznym pewnej kobiety i pewnego mężczyzny. Zarazem jest to także powieść „szpiegowska”, gdyż głównym bohaterem uczyniłem szpiega. Pisanie interesuje mnie bowiem o tyle, o ile jest przegoda pisarską, wkraczaniem na nowe literackie terytoria. Jak wiadomo „powieść szpiegowska” należy do najlichszego gatunku, zalicza się ją do tzw. literatury wagonowej. Pociągająca wydała mi się myśl, aby sprawdzić swoje możliwości: spróbować uszlachetnić ten osławiony i marny gatunek literacki. Czy mi się to udało — ocenia Czytelnicy; krytyków zawsze sobie lekceważyłem, ponieważ za mało mają wyobraźni, aby pojąć jak wielkie i zaskakujące możliwości kryje jeszcze literatura i jak niekiedy lekceważone gatunki.

Powieść ma charakter ballady. Główny bohater nosi nazwisko Józef Maryn. Zależy mi, aby niektórzy wielokrotnie dziennikarscy bez zbytecznego wysiłku umysłowego, który tyle ich kosztuje, mogli od razu powiedzieć, że stworzyłem powieść „marzynistyczną”, że piszek o „d... Marynyn”. Zabawa z tymi wesołkami jest wielkim urozmaiczeniem w moim jedynastym wiejskim życiu.

półwyspie, a stary Keile i Horst Sobota pochowali tych ludzi na cmentarzku Kellów, bez mogił, gdyż zandarmi zrobić tego nie pozwolili. Sobota ciekaw był kim byli ci ludzie, jaką mową mówili, jakie żony i jakie dzieci pozostawili w swoim kraju. Nie dowiedział się tego nigdy, a w trzy lata później, owej strasznej zimy spłonęła zagroda Kellów. Potem na półwyspie posadzone młody las, zaś stary Keile poniewierzał się po cudzych domach i on to opowiedział Sobocie o tym, co działo się tutaj, kiedy Sobota wojaował, kiedy przebywał w niewoli. I opowiadał — dopóki stary Keile nie zmarł wreszcie pod cudzym dachem — niekiedy chodził na półwyspie patrzeć jak las pożera pola, widziaria się nawet na cmentarzku i coraz silniejszymi kotrzezami obejmuje i pochyla kamienne nagrobki.

A co się stało z drugą żoną Horsta Soboty, Gertrudą i ich synem Henrykiem? Odzyskał przecież Sobota swój piękny dom z gankiem pełnym kolorowych szkieł, pozostał mu też skrawek ziemi między lasem i jeziorem, i tutaj duży sad złożył. Czy to znówu nie ten sam las zabrał mu drugą żonę i syna, którego wyrzucił na lekarza? „Pozostał za mną i lecz ludzi” — mówił do syna Horst Sobota. Ale on tłumaczył się, że nie może pracować na wsi, gdyż na chirurga się przyczucił i w wielkich szpitalach musi wiedze zdobywać. Przyjeżdżał wtedy do ich domu nadleśniczy Burak, siadał przy stole Soboty, rozkładał ogromne mapy i pokazywał na nich sad i dom Horsta, „leśnicze Sobota jak wrzód na ciele lasu — mówił Burak. — Ten zielony kolor to las. Spójrzcie jak ogromną polną mapę zajmuje. Żółtym kolorem są znaleziona skrawki pol przyznależne do leśniczków i domów zajętych przez drwali i robotników leśnych. To wszystko, zielone i żółte jest własnością lasów państwowych. I tylko w samym środku widnieje czerwona plama; to wasz dom i wasz sad, panie Sobota. Ta mapa wisi w moim gabinecie, codziennie na nią patrzę, i codziennie mi przykro, że nie wszystko na niej jest zielone i żółte.

Sprzedając nam swój dom i swój sad, zrobimy w nim jeszcze jedną leśniczkową. Dobrze zapłacimy...”

Nie miał wtedy Horst Sobota pieniędzy, ponieważ sad był młody i żadnych zysków nie przysparzał. Aż pewnego dnia, po jakichś spiskach, które Henryk miał ze swoją matką, Gerdą, powiedział mu obydwójce albo sprzedaż domu i sad nadleśniczemu, i kupisz synowi pięćnaście mieszkanie w mieście oraz ładny samochód, albo wyjedziemy oboje w daleki świat. Nie kochali ani tego skrawka ziemi nad jeziorem, ani tego domu z gankiem i kolorowymi szkiełkami. Nie, niczego chyba nie kochali oprócz siebie i nie rozumieli, że Horst Sobota nigdy i nigdzie się stać nie ruszy, bo czuje się już stary i tutaj pragnie umrzeć i być pochowany. Może nawet obok starego Keile na półwyspie położonym przez las. Omamili ich nadleśnicze, ale ponieważ on nie da siebie leczyć, dia lasu potrzebował domu Soboty i jego skrawka ziemi, Sobota wiedział, że to las poprzez nadleśniczego wycinał ręką po jego dobro. Zawąził się i oświadczył: „nie”. Zonę i synowi. A właściwie to „nie” zostało powiedziane wobec lasu, do którego już wtedy zaczął odczuwać nienawiść.

I tak oto Horst Sobota został sam w swoim domu i w swoim sadzie, od czasu do czasu przychodził do niego list od żony i syna, czasami nawet jakiś paczka z ubraniami albo zaproszeniem do wyjazdu w daleki kraj. Wtedy to Horst Sobota pojechał do tartaku, wybrał piękne jesionowe deski i sam sobie zrobił trumnę wedle swego wzrostu, a nawet oszerebił ją. Pozostał w niej w szopie, gdzie przechowywał jabłka zimowe i po których tam liście i zaproszeniu położył się w owej trumnie, aby umrzeć w zapachu jabłek i jesionowego drewna. Ale nie umarł. Bo na wieść o tym, że Horst Sobota położył się za życia do trumny, pięknym samochodem przybył z dalekiego kraju jego syn Heinrich, przeniósł go na łóżko, wycelzył zastrzyki, a potem powiedział: „Masz, ojcze, ponad siedemdziesiąt lat i jak na ten wiek zadziwiająco zdrowie ciasto. Ale twój umysł stał się podobny do umysłu dziecka. Powtarzasz ciągle o zbrodniach lasu, a przecież las nie jest żywą istotą. Twój umysł trzeba leczyć, o twój umysł trzeba dbać”. Horst zapytał go: „Czemu nie przyjechała moja żona, a twoja matka, Gerda?”. Syn wstrząsnął ramionami i odparł: „Ona ma już innego mężczyznę. Ja też jestem żonaty i mam dwoje dzieci. Jedź za mną, będziesz z nami. Ty nawet nie wiesz, że po woli staję się starym człowiekiem”. Ale Horst Sobota czuł, że to były słowa, za tym zaproszeniem kryje się jeszcze jeden podstęp lasu, przedstawia się ciła leśna schizofrenia na jego mienie, na jego miłość do własnego domu i własnymi rekami zasadzonych drzew owocowych. Syn więc odjechał, a on pozostał. Tym bardziej, że jego żona, Gerda, miała już innego mężczyznę, a on był za stary, aby znaleźć sobie nową kobietę i zacząć żyć w innym kraju, przy boku nieznanego synowej i wnuków, których imion nawet nie potrafił zapamiętać.

Tak więc samotność Horsta wienią był las. Była to kolejna jego zbrodnia — ostatecznie utracił drugą żonę i syna. Heinrich dziwił się, że Horst traktuje las jak żywą istotę i z tego powodu powrócił umysł ojca do umysłu małego dziecka. Ale co on wiedział o leśnej? Nie tylko przecież sam Horst domyślał się, że las jest żywą istotą, odkrył to jeszcze przed nim nieżyjący już leśniczy Izajasz Rzepa. A nie był Rzepa jakimś niewykształconym człowiekiem jak Horst; miał tytuł inżyniera, wciąż czytał książki o lesie, a nawet pisał o lesie w gazetach.

„Co to jest las? — Izajasz Rzepa zapytał Horsta — Czy można nazwać lasem zwykłe skupisko drzew? Zbiorowiskiem drzew jest także posadzone przez ciebie sad, a przecież twoje sadu nazwać lasem nie można. Zbiorowiskiem drzew jest park, a przecież parku nie nazywamy lasem i w istocie nawet największe parki jeszcze lasem nie jest. Coż więc za zbiorowisko drzew stał się lasem i kiedy się to dzieje? Otóż las, drogi Horście, jest to taki zespół drzew, w którym zaczęły działać procesy i siły lasotwórcze, powstała biocenoza. Tajemne to i przez koniec końca jeszcze nie zbadane siły i procesy. Wiemy o ich istnieniu, liczymy się z nimi, bierzemy je pod uwagę, ale tak naprawdę niewiele je rozumiemy. To one sprawiają, że w pewnej chwili zwykłe zbiorowisko drzew przemienia się w las, a nie w park. Powstała one nie wiadomo kiedy i działają na swój własny sposób. Stwa trząta to, co my leśni ludzie w naszym leśnym języku nazywamy ekosystemem leśnym oraz jeszcze coś większego, klimaks leśny. Siły lasotwórcze sprawiają, że las sam umiera i sam się odradza. Życie lasu zaś przejawia się przez ciągłą walkę o byt. Czy nie przeraża cię myśl o matce potężniejszej własne dzieci? A przecież to codzienne zjawisko w każdym lesie. Oto broza matka, co roku zasiewa wokół miliony swoich dzieci. Ale te, które zakorzenią się w jej pobliżu, po jakimś czasie widną i umierają, ponieważ zabiera im wodę, zasłania przed słońcem. W lesie każdy żyje kosztem innego, każdy walczy o odrębne światło słoneczne, o każdą kropkę wilgoci w glebie. To straszna walka, a cwe zbrodnie, które dostrzegamy na powierzchni niczym są w porównaniu z walką jaką o każdą kropkę wilgoci toczą ze sobą ukryte w ziemi korzenie. Czyż nie jest to ewolucja klimaks leśny, czyli przedziwna drabina, która pozostaje częścią sił lasotwórczych? Na korzeniach drzew rosną specjalne grzybki, wyżej jest runo leśne, na wyższym piętrze podszycie, a jeszcze wyżej korony drzew. Wszystko istnieje we wzajemnej współzależności, i zarazem potężniejszą wzajemnie i zarazem siebie żyć i rozwijać się nie mogąc. Niektórzy powiadają, że las jest piękny. To śmieiesz. Horście. Las jest brzydki, bo to, co się w nim dzieje musi napawać każdego wstrętem. Las to chaos, białagan i nieporządek.

CDN

Horst Sobota od wielu lat nie lubił chodzić do lasu, choć jego piękny dom dzielił od niego tylko ogódek i piaszczysta droga. Nie lubił nawet sadywać na swym oszklonym ganku pełnym różnorodnych szkieł, gdyż z tego miejsca można było widzieć mroczną głębię drzew. Wolał schodzić nad jeziro po łagodnej pochylonej szerokiej skarpy, wąską i krętą ścieżką przez sad z niskopiętnymi drzewami owocowymi, i niekiedy wiele godzin spędzał na spróchniałym pomociu wśród trzciny. Jezioro było tak samo ogromne i nieprzeniknione jak las, a jednak w upalne dni albo zimą, kiedy pokrywał je grubo lodu i zasypany śnieg, potrafiło nieruchomieć i jak gdyby pogrążyć się w odpočynku lub błogim śnie. Las nigdy nie spał — nawet zimą, ciałe coś w nim szemrało, szeleściło, trzaakało, albo też porażało straszliwą ciszą, która w każdej chwili mogła przerodzić się w krzyk wywołany wichurą; jak czujny i niebezpieczny zwierz jedynie drzemał, gotów w każdej chwili odskoczyć się i pochwytywać swoją ofiarę.

Kiedy przychodził wiatr — jezioro pieniało się gniewnie, ale przecież jego wysokie fale tylko łagodnie bełkotowały u brzegu, zaś rozkołysane trzciny pobrzekwały cichutkiem. Natomiast las hucał, postękiwał, skrzypiał, jęczał, gromie potrafił koronami wysoki sosny, zaskakując każdy dźwięk, nawet bełkot fal, i nie pozwalał Horstowi słuchać mowy jeziora. Podobnie i drzewa w Horstowym sadzie w największą wichurę tylko szumiały spokojnie i melodyjnie — ich mowę też podchwytował i zaguszał hucający głos lasu, przed którym nie było ucieczki, bo przenikał aż do domu Horsta Soboty, do pokoiów, na ganek z kolorowymi szkiełkami.

Sobota wydawało się, że rozumie mowę sadu, mowę jeziora i mowę lasu. Fale jeziora słuły opowieść o przewrotności łodźców i Zagłogach, o węgornazach jak grubych jak ramię tłuste kobiety; spasy się przed laty ciętami setek żołnierzy i tych, co gnał wojennym strachem, próbował uciekać po kruchym lodzie. Również i stary sum, który zamieszkał w zatoce przy pomocy Horsta Soboty też się wtedy utęczał i teraz, mimo że od lat polował na niego rybacy i wędkarze, potrafił chytrze omijać sieci i żaki. Niekiedy podpytywał w pobliże pomostu i nieruchomiał pod powierzchnią wody jak oszklony pięt drzewa. Stary sum przyszydział się wtedy Horstowi Sobocie i czasami jakby uśmiechał się, otwierał swój szeroki pysk, Horst Sobota także uśmiechał się do niego i nie miał żalu, że kiedyś, kiedy Sobota nie był samotnym jak tak teraz, ale zamieszkiwał ze swoją drugą żoną i synem, stary sum wciągnął pod wodę jego stado białych kaczek. I nie wiedział czemu, mimo tej strasznej historii z żołnierzami w swoich pancernych łodziach, mimo zaginionych w odmetach dzieciątka ludzi, koni i wozów — Horst Sobota nie odczuwał ani niechęci do jeziora, ani leku przed jego bełkotem. Co roku jezioro przyjmowało nowe ofiary i nie zawsze oddawało je ludziom — przeważnie nieoszczędnych młodzieńców lub dzieci, albo odważnych żeglarzy, którzy wypływali pod swoimi trójkotłymi żaglami, aby igrać sobie z falami. Horst Sobota współczuł tym ludziom, lecz nie potępiał jeziora, ponieważ nie zachęcał nikogo do igrania ze swoimi falami, nie laszczyło się sam na cudze życie i cudze mienie.

Rozumiał też Horst Sobota mowę swego sadu. To wieczne gderanie, na mszycę, na leniwe pszczoły i trzmiele, na wczesne wiosenne przymrozki, które trzeba było przeganiać paląc między drzewami ogniska i zasnuwając dymem korony pokryte kwiatami. Sad wciągnął do Horsta o coś pretensje, po prostu nudził, przypominał o jakims suchym korzeniu, o pociętej kory, o nie dojrzałym o kłopotliwych owocach albo o liściach, co się wyległy z kępki zeschłych liści. Sobota przechodził ścieżką przez sad i udawał, że nie słyszy tego gderania, i liście przeciwie rozdzielił się piękne motyle, przyjemnie było patrzeć jak latają i, mienia się różnymi kolorami podobnie jak szczyki na ganku. Tak samo miała się rzecz ze spiskami. Nie na wsi, nie w sadzie, gderanie sadu, w falami, Horst Sobota wodził w niego, dożył nadzieją jakiegoś człowieka; człowiek nie powinien żyć bez motyli, szpaków i dzieciolów. A że mniej przez to otrzymywał pieniędzy, co to miało za znaczenie dla Horsta Soboty, który w skrajnym zakopanym w stodole ukrywał więcej pieniędzy niż mógłby wydać do końca swego życia.

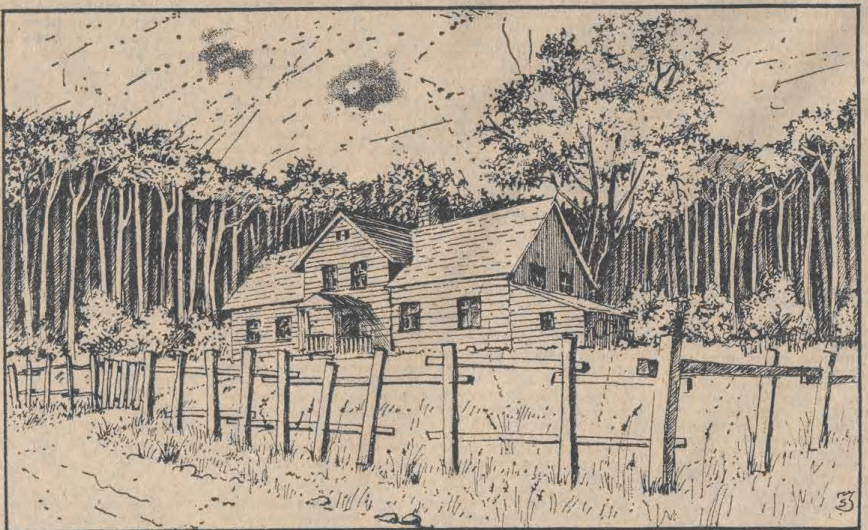
Tylko mowy lasu Horst nie lubił. Wydawała mu się kłamiwa i przewrotna. I zawsze była taka sama.

Najpierw las próbował naszastać, przytłoczyć, porazić swoim ogromem. Rozhuźtany wichurą gromił, że swoje grube sosny zwały na piękny dom Soboty i zgniecie go jak skurpek siłmaka. Ogłuszał swoim głębokim hucającym głosem, wyrażał rozkołysanymi koronami drzew. Potem zaś łagodniał i zaczynał się żalić — postękiwał, pojełkiwał odcierającymi się o siebie pościaniami, wór z żalił, popokiwali, szlochał, skazywał się na swój los, tłumaczył nieprawdę, które czynił, zapraszał Horsta za wszystkie krzywdy jakie mu wyrządził, obcetywał, że już nigdy więcej nie będzie się łakomił na cudze życie i cudze mienie. A przecież wystarczała chwila nieuwagi, a już od strony lasu szczybowały na pole Horsta Soboty malutkie nasionka brozoj, piaki niosły w dziobkach nasiona sosny, jak skrzydlaty motyle przelatujące nad drogą nad siana kłonu, która akurat usadziła się po drugiej stronie drogi. Wystarczył rok niewagi, a gdzie się tylko dało, nawet w ogródku przed domem i obok ganku, wśród dali, astrów, mleczyków, tulipanów, narcyzów, cynii, penitli, goździków i malw — nagle wyrastała brzożka, kłon lub sosenka. To samo zdarzało się w sadzie, nawet w rowie przydrożnym — wszędzie, gdzie się dało, nasadzała się zasiedla, obłąk w posiadanie każdy skrawek gleby, nawet grudek ziemi, która pozostała w rynnice, bo i tam sadził brzożkę. Las był łapczywy na cudze mienie, cały świat chciał wziąć w swoje posiadanie. Zarastał stare drogi, dawne mogiły, ścieżki i ścieżynki. Pojełkiwał i skamlał tłumacząc się ze swoich drobnych win, ale o zbrodniach — milczał.

„Gdzie moja żona Hilda i dwie córki” — zapytywał Horst Sobota, a las tylko po swojemu postękiwał i skrzypiał, wiatr hucał mu w gatach. A przecież dowiedział się Horst Sobota od strasznej zimy, że podobnie jak wielu innych, także i Hilda wraz z córkami, kórnami i krowami, ukryła się w lesie. I wielu ocalało, a ona nie — nikt nie wiedział co się z nią stało, choć Horst Sobota, gdy powrócił z niewoli, wypytywał, pisał listy na wszystkie strony świata. I czekał, przez pięć lat czekał na jakiś znak od Hildy, od którejś z córek. Bo jeśli żyły, to przecież musiały się kiedyś odezwąć, napisać kartkę choćby z odległego świata jak wielu innych, co też się wtedy zgubiło, a potem odnalazło. Ale Hilda i córki musiały pochłonać las, wpił się korzeniami w ciała, odżywał nimi, nabierał sił.

Co zostało z pól Horsta Soboty? Były to przyłane piaski, które należały przecież do niego, do człowieka. Trzyletnie osenki zastał na nich Sobota, gdy wrócił z niewoli. Na polach Soboty posadzone las, który przez to stał się jeszcze większy i bardziej zachłanny jak gdyby mu mało było Hildy i dwóch dziewcząt.

Na półwyspie, gdzie zakładano teraz plantacje nasienne, też kiedyś rozciągały się pola i stał drewniany dom starego Keile. Podobno przed ponad dwustu laty, tam właśnie znajdowała się cała wioska, ale przyszedł pomór, od którego można się było odgrodzić tylko wodą i ogniem. Wówczas to spalono całą wieś, ludzie zaś na łodkach i tratwach przewiezili swój dobytek i zbudowali swoje domostwa po drugiej stronie, tu, gdzie teraz ma swój dom Horst Sobota. Z czasem na dawnym pogorzelisku osiedliła się rodzina Kellów, stała duża i szczęśliwa, umierając w odpowiednim wieku i z zadołnością. Chowano ich na własnym cmentarzku wśród sławnych pól i na mogiłkach stawiali kamienie z wykutymi na nich napisami. To dopiero w pierwszym roku wojny, zandarmi znaleźli w lesie trzech jeńców, którzy uciekli z niewoli, lecz las ich wydział nie chcąc żyć. Rozstrzelano ich na polach na



Rys. Janusz Szymbalski-Glanc